Tom XIX. Nr. 14.

11. listopada 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarby ziemi.

Powiastka Bartka Szkolarza.

(Dokończenie.)

Przypadek zrządził tak, że właśnie mnie i Walentemu wypadała droga koło karczmy. Przez oświetlone okna zobaczyliśmy Jana, Niemca i żyda, zajętych temi konszachtami. Obaj pomyśleliśmy zaraz, że w tem już nic dobrego być nie może. Podkradłem się niepostrzeżony pod drzwi i podsłuchałem całą ich rozmowę.

— Źle — rzekłem do Walentego — Jan sprzedaje swój grunt za bardzo niską cenę, a Niemiec, który go ma w kieszeni, gorzałką i diabelską wymową wydrwi od niego tę ojcowiznę za nic.

— A piękna to rola — rzekł Walenty — trzebaż jemu wyzuwać się z własności? Pożyczyłbym mu już dzisiaj pieniędzy bez wszelkich nawet przymówek. Ale to hardy człowiek! Gniewa się na mnie więc i nic nie zechce przyjąć!

— Ale potrzeba koniecznie tym planom Hansa przeszkoodzić — odpowiedziałem Mam już nawet myśl dobrą. Wstąpmy do kerczmy i weźmy grunt na licytację. Choćby nam dwa razy tyle dać wypadło ile to wszystko warto, nie damy się i kupimy. Przez noc może zaświta, da Bóg, w pustej głowie Jana, a wtedy oddamy mu jego ojcowiznę.

Na tę radę moją przystał Walenty bardzo chętnie. Grunt bowiem był bardzo wiele wart, a do tego jeszcze przytykał do naszego. Najbardziej zaś robiliśmy to dla tego, bo na gruncie tym była bardzo dobra studnia. W tym roku zaś była taka posucha, że wszystkie krynice powysychały, z wyjątkiem studni Jana i tego przybłędy Niemca, który jednak nikomu ze swojej zaczerpnąć nie dał. Byłaby więc bieda, gdyby się i ta studnia do niego dostała. Cała wieś musiałaby wtedy jeździć po wodę aż do młyna.

Prędko wtedy weszliśmy do karczmy, ale tak jakoś cicho, że nas nie dostrzeżono z początku.

Hans był właśnie zajęty rozmową.

— Zresztą — rzekł do Jana — żebyście wiedzieli, że jestem rzetelnym człowiekiem i mam dobre serce, dodam jeszcze do waszych długów sześćdziesiąt reńskich.

— A ja zapłacę wszystkie długi i dodam jeszcze sto! — rzekłem głosem tak donośnym i tak niespodziewanie, że Niemiec z żydem ze strachu i złości prawie pod stół się zatoczył.

— Sto?! — zabełkotał Hans.

— Nu jakto sto? — krzyczał jego wierny sprzymierzeniec Herszko. Kto tu może dać sto reńskich, kto ma prawo wtrącać się do nas?

Na to odparłem bardzo ostrym tonem:

— Ja śmiem mieszać się do rozmowy oszustów, którzy korzystają z biedy człowieka i chcą go wyzuć niesprawiedliwie z jego ojcowizny.

A odwróciwszy się do Jana dodałem:

— A więc zgoda!

— Co, zgoda? Nie ma zgody — krzyczeli jednym tchem Niemiec i żyd w niebogłosy. Tu między nami sprawa panie Janie. Dodam wam jeszcze o pięć reńskich więcej.

— A ja o dziesięć więcej — rzekłem już bardzo rozgniewany.

— Oho! — wołał Niemiec, który się aż pienił ze złości, bo mu widać bardzo się ta ziemia podobać musiała. — Jacy mi tu panowie! Słuchajcie mnie Janie, a dodam jeszcze dwa reńskie.

— A ja o pięć jeszcze więcej — zawołał nagle Walenty, bo już także ze złości w milczeniu wytrzymać nie mógł.

Niemiec i jego spólnik Herszko byliby ze złości Bóg wie jak wysoko cenę stopniowali, ale ja i Walenty nie dopuściliśmy tego.

— Nic z tego interesu — krzyknąłem Niemcowi prawie w same ucho. — Choćbyście tysiąc reńskich dali, ja zawsze dam jeszcze więcej.

Jak wąż jadowity w kłębek prawie zwinął się Niemiec ze złości. Chwycił się już ostatniego środka, byle tylko Jana do siebie przywabić.

— Jeżeli mi roli waszej nie sprzedacie — krzyczał strasznie głośno — to was jutro zaraz o dług wasz zapozwę!

— A ja wam dzisiaj zaraz wszystkie pieniądze wyliczę i możecie jeszcze dzisiaj wszystkie wasze długi pospłacać — rzekłem.

Jan nie był głupim. Widocznie skłaniał się na naszą stronę, więc wziąłem go pod rękę i wyszliśmy z karczmy.

Musieli też tam pewnie za naszem odejściem obaj ci oszuści włosy sobie z głowy wyrywać! A my śmialiśmy się ogromnie zwłaszcza nazajutrz, gdy jak to dobrze wiedziałem, Jana zupełnie opuściła ochota sprzedawania swojej pięknej ojcowizny.

Ale w Niemcu tym widać sam djabeł siedzieć musiał. Posłuchajcie tylko, co to on nam ze złości zrobił.

Gdyśmy na drugi dzień do studni Janowej po wodę przyszli, stanęliśmy nagle znowu zdziwieni. Studnia do połowy prawie była zasypana ziemią, a wody ani znaku nawet.

*

— To sprawka Hansa — rzekłem — W nocy pewnie ze złości zasypał nam studnię.

— Ale my mu się na złość nie damy — rzekł Walenty, który tymczasem prędko pobiegł do wsi i zwołał kilku sąsiadów z rydlami.

Zaczęliśmy odkopywać dawną studnię. Wszyscy mozolili się mocno i z równą ochotą, bo inaczej chybaby z pragnienia we wsi umierać przyszło bez tej studni. Ale robota szła bardzo nieszczęśliwie. Już bardzo głęboko wcisnęliśmy się do ziemi, a wody jeszcze widać nie było. Widać, że ten niecnota Niemiec źródło nawet zatkać musiał. Po długiej robocie, gdyśmy już z rydlem do ogromnej głębi dotarli, pokazało się kilka kropli wody.

— Woda — krzyknęli żywo robotnicy u dołu,

Źródło odkryte trysnęło silnie.

Jeden z robotników mocno zmęczony nabrał świeżej wody do kubka, ale gdy tylko ją do ust przyłożył, odskoczył jak oparzony.

— A to djabeł ten Niemiec! — zawołał — to szatańska sprawa? Wszak to nie woda ale jakaś trucizna, jak djabła czuć ją smołą.

Nuż tedy wszyscy zaczęli się dobywać na wierzch i uciekać co tchu do domu. Ale prędko wstrzymałem wszystkich, bo poznałem że nie ma w tem nic złego — żeśmy odkryli skarb wielki. Płynem tym smrodliwym była nafta.

Nie potrzebuję wam tłumaczyć, co to jest nafta, bo dzisiaj już wszyscy o niej wiedzą. Każdy już dzisiaj świeci naftą w domu, bo to o wiele taniej wynosi niżeli zwykłe świece. Ale może nie wszyscy wiedzą, że nafta dobywa się z ziemi. Jeżeli kiedy kto pojedzie do Borysławia pod Drohobyczą, to zobaczy całą ziemię do koła porytą. Tamto najwięcej nafty dobywają.

Szczęśliwy ten, na czyim gruncie nafta się znajduje, bo ni ztąd ni zowąd staje się naraz bogaczem. Za kawałeczek pola takiego płacą bowiem jak za złoto.

Takim to bogaczem stał się teraz Jan. Prędko pospłacał wszystkie długi, pokupił nowe konie i wozy i nazbierał dużo bardzo grosiwa i ciągle sobie teraz tylko z naftą po świecie jeździ. Niechżeby teraz kto spróbował kupić od niego kawałek ziemi za kilkanaście reńskich! Za maleńki spłacheć wziął niedawno kilka tysięcy. Przyznać jednak muszę że jest bardzo wdzięcznym, czego się nawet po nim trudno spodziewać było. Za to żem go odwiódł od sprzedaży ziemi, koniecznie wsunął mi za małą cenę kawałek gruntu, z którego jak ze źródła czerpię pieniądze, tak że dzisiaj mam już dzięki Bogu spory dobytek. Walentemu toż samo tak się odwdzięczył i żyje z nim odtąd w najświętszej zgodzie.

Zapytacie może co się z Hansem stało? Aż posiwiał ze złości, że zamiast szkody dał nam szczęście do ręki. Gdy u innych ludzi tożsamo pokazała się nafta, myślał Hans, że i na jego roli koniecznie znajdować się musi. Ale widać Pan Bóg nie błogosławił mu. Porozkopywał całą swą rolę, popsuł ziemię i stracił dużo pieniędzy. Ze złości aż schudł mocno. Widząc, że na nic jego robota, zabrał resztę swego majątku i wyniósł się do swojej ojczyzny. Czy pomyślał on kiedy o takim końcu niedawno, gdy jeszcze na palcach czas liczył, w którym szachrajstwem i matactwem spodziewał się posiąść wieś całą? Tak się to dziwnie nieraz dzieje na przekor ludzkim zamysłom i układom.

Zając i kuropatwa.

Gdzie się łączka zieleni, gdzie gaiczek miły,
I gdzie tryskał zdrój obficie,
Kuropatwa i zając w jednem miejscu żyły,
Wiodąc spokojnie swe życie.
A w tem razem niespodzianie
Słychać w lesie huk straszliwy,
Rumaków rżenie, ogarów granie,

I dźwięk trąby przeraźliwy.
Zrywa się zając i leci przez błonia,
Skryć się w znane mu ustronia;
W tem go do koła obskoczyły charty,
I już rozdarty.
Kuropatwa się śmieje: Ty coś był tak rączy,
Czemuż bieg ten, z któregoś tyle szukał chluby,
Nie ratował cię od zguby?
Lecz zaledwie mówić kończy,
I ją otacza psów zgraja;
Ona się w krzakach przyczaja,
I nagle bystrym wznosi się lotem.
W tem błysło z ognistej broni,
Wypada nabój z łoskotem,
Już po niej.

Żartować z cudzych nieszczęść nigdy się nie godzi,
Bo któżto swemi zarządza losami?
Dziś co zamierzym wszystko się powodzi,
Jutro być możem nieszczęśliwi sami.

M. G.

Trawy.

Jak wysokie drzewa i niziuchne mchy, tak i trawy po rozległych łanach rozrastają się gromadnie; potrzebują piasku krzemienistego, z rozpuszczonej bowiem krzemionki formuje się zewnętrzna ich łodyg pokrywa, a niektóre trawy w samym piasku rosną, jeżeli tylko dość mają wilgoci; inne udają się najlepiej na gruncie przeciętym ponikami, a inne, jak sitowie i trzcina rosną tylko na stawach i bagnach: w ogólności lubią grunt wilgotny.

Niektóre rodzaje traw są niskie i wiotkie jak mietelnica, miętlica; drugie strzelają w górę na wysokość mężczyzny, jak żyto, sitowie, kukurydza i inne, okazują się w postaci drzew i gałęzistych roślin jak bambusy 50 do 100 stóp wysokości, a kilka calów średnicy mające. Niskie, słodkie trawy w umiarkowanych strefach stanowią łąki i stepy, wyższe w rodzaju sitowia w cieplejszych okolicach przedstawiają rozległe niwy,

a w gorących krajach olbrzymie tworzą lasy bambusowe. Bardzo jest piękna i delikatna trawa z wysmukłą swoją łodygą, która od jednego do drugiego kolanka coraz wyżej się wznosi, a wązkie jej listki jak wstęgi rozbujałe igrają z wiatrami. Cienkie pojedyńcze łodygi, wiatrby połamał niebawnie; dla tego zwykle tuż obok siebie stawają gromadnie, tak więc pochylać się i wzajemnie jedne na drugich opierać się mogą, i cała niwa kołysze się w lekko poruszanych falach. W czasie kwitnienia na samym pospolicie wierzchołku rozwijają się kłosy i wiechy, wyrównywające ciężarem całej łodydze, która od tej chwili dla utrzymania szczytu swojego coraz bardziej tężeje, twardnieje, niepozorny zaś kwiat mączysty w ziarnach wyrabia owoc, w niektórych zwłaszcza rodzajach, nieoceniony dla ludzi przynoszący pożytek.

Trawy są pożywieniem niezliczonej ilości zwierząt; te jako roślinożerne żyją wszystkie gromadnie i są łagodne, dla tego zostały domownikami w gospodarstwie człowieka. Najznaczniejsze z nich są: owce, kozy, bydło i konie. Każde z tych trawożerczych zwierząt, według swego smaku i natury odmienną lubi paszę, i gdy rącze konie najchętniej w różnych kierunkach przebiegają, na miękkim i suchym gruncie rosnącą trawę, gdzie dogodnie wyścigać się mogą, to bydło przeciwnie wybiera najbujniejszą trawę i idzie za nią aż na mokre łąki i płytkie bagniska. Owca znowu wyszukuje niskiej a słodkiej trawy na suchych pagórkach; łakotliwa zaś koza wspina się nawet na skały za smakowitemi ziołami i liściami krzaków i drzew, zwieszających swoje gałązki.

Od najdawniejszych już czasów człowiek stada tych spokojnych utrzymywał zwierząt, a bronił od lwów, tygrysów, rysiów i wilków, suchą paszą karmił w czasie zimy, a latem z jednego na drugie prowadził pastwiska. Rozbijał on namioty na górnych łąkach i rozległych niwach, i mieszkał z swem bydłem i trzodą, żywił się ich mlekiem i mięsem, a okrywał skórami. Jak ren, niesmakowity mech, tak i owca, koza, a szczególniej krowa, przetwarzają trawę w słodki, pożywny pokarm, w mleko, z którego nauczył się człowiek wyrabiać masło

i ser, zastępujące tłuszcz i mięso zwierząt; i jak przed wiekami tak i dzisiaj ludy pasterskie wraz z bydłem i trzodą żyją pod namiotami na rozległych pastwiskach.

Gdy bezczynny pasterz siedząc na trawie bawił się jej łodygami, łatwo mogły szczególniejsze kłosy zwrócić jego uwagę, a osobliwie pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa. A jak i dziś jeszcze dzieci bawią się kłosami i zajadają ich ziarna, tak i pasterz niegdyś mógł rozgryść na pół dojrzały z słodkiem mlekiem owies; innym razem znowu mączna, słodka treść ziarn żyta, orkiszu, jęczmienia, a nawet pszenicy, wydawała mu się tak dobrą, jak owoce z drzew, a bardziej jeszcze niż korzonki i żołędzie. Nie trudno było przekonać się, o ile te mączyste ziarna lepsze i dogodniejsze były od wszelkich korzonków i owoców; nie gniły bowiem tak prędko i długo dawały się przechować. Jeźli więc pasterz te piękne kłosy na dłużej zachował i w zimie, a nawet i ku wiośnie, kiedy zebrane korzonki i owoce zepsuły się i zgniły, znowu te ziarna zaschłe, dobrze zachowane zobaczył, wtedy mu zapewne jeszcze lepiej smakowały; tak więc możność dłuższego przechowania ziarna, zbożem później zwanego, dostatecznie przekonała o ważności i użytku tego nowego pokarmu. Jakąż to pomocą dla nich okazałyby się te ziarna w czasie niedostatku! A każden lud pasterski łatwo może popaść w niedostatek, kiedy dzikie zwierzęta wpadną między bydło i trzodę, i one rozpędzą, lub kiedy zaraza między niemi grasuje, lub kiedy skwarne lato wszystką trawę wypali i pastwiska zniweczy. Owoce i korzonki nie dały się długo przechowywać, mleko i masło psuły się, mięso zabitych zwierząt jeszcze prędzej gniło, małe zaś ziarnka niepozornych traw od roku do roku wytrwały, i od żniwa do żniwa były do użycia.

Człowiek, takiem ziarnem napełniwszy 5 worków, z których każden osobno udźwignąć zdołał, mógł się cały rok wyżywić, i tym sposobem nie zależał od stanu zdrowia swej trzody, ani od obfitości drzew owocowych i od wszelkich przypadkowych niepowodzeń był niezawisły. Te ziarna przeto należało uważać jako najwłaściwsze pożywienie, jako chleb człowieka, one zdawały

się być dla niego przeznaczone, dla niego stworzone; one mu życie ubezpieczały, czyniły go niezależnym i bezpiecznym od powodzenia w polowaniu, rybołostwie i od wielu niepomyślnych przypadków w życiu pasterskiem.

Skutkiem uznania wysokiej wartości tych ziarn chlebowych, było najpewniej usiłowanie hodowania roślin, tak wybornego dostarczających pokarmu, co się łatwem do wykonania zdawało. Jeżeli na próbę w ziemię wsadzono ziarnko na wiosnę, w czasie której wszelkie nasionka kiełkują i w górę się wznoszą, to pewnie z podziwieniem postrzeżono, że z jednego ziarnka kilka łodyg wyrosło, a na każdej ukazał się kłos o 50 i więcej ziarnkach, te zaś w kilku miesiącach letnich do zbioru były gotowe. Ta przeto właściwość zboża odznaczała chleb ludzki od owoców, których nasienie wielu lat potrzebuje, nim z niego drzewo owocowe wyrośnie; podobnież i uprawa zboża więcej pożytku okazywała, niż wyłączny chów bydła i trzody; jagnię bowiem, lub cielę długo pielęgnować i karmić należy, nim się z nich jaką korzyść otrzyma.

Błogosławiona ta trawa, z której człowiek wybrał pszenicę, żyto, jęczmień, owies jako ziarna pożywne, jako chleb dla ludzi! Od tego dopiero czasu, jak człowiek nauczył się je zasiewać, zbierać i w pokarm dogodny dla siebie urządzać, wtedy dopiero został wolnym panem ziemi. Dawniej był znaglony jako strzelec w ciągłych być zapasach z dzikiemi zwierzęty, dla utrzymania życia, albo jako pasterz koczownicze prowadzić życie, w ciągłym być boju z dzikim zwierzem dla obrony trzód swoich, i na tysiączne narażać się niebezpieczeństwa; lecz gdy po raz pierwszy pole na rolę przemienił, wtedy dopiero zajął ziemię w stałe posiadanie, i odtąd rozpoczął bezpieczne, spokojne domowe życie. Teraz już nie przepędzał nocy dziś tu, a jutro gdzieindziej na drzewach, w dołach, jaskiniach lub namiotach, ale uprawna rola została jego siedzibą; w miejsce przenośnego namiotu, zbudował sobie chatę i został osiadłym rolnikiem, ogrodnikiem, gospodarzem. Jak daleko tylko te trawy chlebem darzące rosły, ludzie zakładali osady, zdobywali kraje, i przekazywali je swym dzieciom i potomkom.

Użyteczne te trawy w większej części naszej ziemi z łatwością rozplemiać się dające, zachęcały ludy do ciągłego posuwania się coraz to dalej, w miarę stósownego do uprawy gruntu, na którym w każdej okolicy właściwy jemu gatunek zboża zasiewano. Najprzedniejszą trawą jest pszenica, plon z niej otrzymany jest bardzo wielki; w niektórych nawet okolicach dwa razy w roku można ją zbierać, i setnem wtedy obdarza ziarnem. Mąka pszeniczna delikatna, smaczna i pożywna, pieczywo z niej wyborne i wonne. Po pszenicy żyto jest najposilniejszym pokarmem, ma w sobie podobne do mięsa zwierząt i sera własności, wyrabiany przeto chleb z niego, wielce jest ceniony, chociaż nie tak biały i smaczny jak pszeniczny. Żyto udaje się nawet w chłodniejszych okolicach, i na jałowszym i piaszczystszym gruncie, niżeli pszenica. Podobnież i jęczmień na mniej dobrej przestaje ziemi jak pszenica, ale nie łatwo znosi zimno i nieprzyjażną sobie niepogodę, a mąka pośledniejsza od pszenicznej i żytniej, nie jest ani tak smaczna ani tak pożywna. Owies jeszcze dalej ku północy i aż na góry zaprowadził, a chociaż nie dość obficie się udaje, i niedostatecznie jest mączysty, to przecież jest chleb z niego dosyć pożywny. Ryż przewyższa dobrocią i plonem wszelkie rodzaje zboża; ale ogranicza się tylko na ciepłych okolicach i znacznej wymaga wilgoci, tak prawie jak trawy na łąkach. Na tego rodzaju gruncie, jak we Włoszech i Hiszpanii, w środkowej Afryce, w Brazylii i południowo-wschodnich Stanach Zjednoczonych, a szczególniej w Indjach i Chinach, jest najważniejszem pożywieniem, i wszelki inny pokarm mniej potrzebnym czyni. I tem jeszcze odszczególnia się ryż od innych zbóż, że ziarn jego nie trzeba mleć koniecznie, wyłuskane bowiem ziarna i ugotowane, przyjemną są potrawą. Ryż w przyjażnych warunkach uprawiany, jeszcze się plenniejszym okazuje; pochodząc z Ameryki, udaje się wybornie w południowych krajach Europy i wschodniej Afryce.

Z rozpowszechnienia tych wszystkich rodzajów zbóż, okazuje się, że największa część ludzi żywi się ryżem. W najludniejszych krajach jak Chiny i Indye Wschodnie, ryż jest

wyłącznem prawie pożywieniem wszystkich mieszkańców; a gdy jego twarde, mączyste ziarna łatwe są do rozsełania w dalekie strony, to i tam, gdzie go uprawiać nie można, obok innego zboża za pokarm jest używany. Po ryżu pszenica największą liczbę ludzi utrzymuje, i jej także twarde a wytrwałe ziarna w dalekie rozsełają okolice, a odkąd nauczyli się ludzie mleć ją na sucho (w młynach parowych) to i mąka pszeniczna stała się towarem handlowym.

Z pomiędzy traw jeszcze o trzcinie cukrowej wspomnieć nam należy, którą we wszystkich czterech częściach naszej ziemi między zwrotnikami położonych, skrzętnie uprawiają; z jej to pełnego miłej słodyczy soku wytworzony cukier, zajął miejsce miodu w dawnych czasach za przyprawę używanego; teraz zaś w wielkiej już części w Europie wyrabiają cukier z buraków. *Waw. Cz naucz. z Brz.*

OKOLICE KRAKOWA.

Cztery mile za Krakowem leży miasteczko K r z e s z o w i c e sławne z pięknego położenia, tudzież źródeł siarczanych i wody żelaznej, u których chorzy szukają zdrowia. Miasteczko to otaczają góry uwieńczone lasami; opodal śród bujnych łąk sterczą nagie skały, uśmiechają się cudne doliny ubarwione kwiatami i wabią do siebie wędrowca, a ulice z drzew rozłożystych zachęcają do wypoczynku w cieniu i chłodzie. Jest tutaj kościół wspaniały przed kilkunastu laty wzniesiony przez dziedziczkę, a w jego grobach spoczywa stary nasz wojak Józef Chłopicki, o którym śpiewano niegdyś:

Nasz Chłopicki wojak, dzielny, śmiały,
Poprowadzi polskich chłopków w pole bitwy, chwały.

Niedaleko ztąd wśród ponurej pustyni bieleją na górze mury kościoła i klasztoru księży Karmelitów. To C z e r n a jedno z najpiękniejszych miejsc w okolicy Krakowa. Kościół jest bardzo piękny, choć skromny; ściany jego lśnią białością, a ołtarze są z czarnego, krajowego marmuru. Po za murami

klasztoru wznosi się w cieniu drzew pomnik polskiego jenerała, Błędowskiego, który walcząc za ojczyznę, w jednej bitwie z Moskalami utracił obie nogi i przyjechawszy do Krzeszowic umarł na cholerę. W innem znowu miejscu na Czerny jest godny widzenia most olbrzymiej wielkości, łączący dwie góry bardzo wysokie, zbudowany za lepszych czasów dla wygody przechodniów, ale teraz nieużyteczny, bo w środku zepsuty.

W równie pięknej okolicy leży niedaleki ztąd Tęczyn, gdzie na szczycie wyniosłej góry sterczą zwaliska odwiecznego zamku. który sławnym jest z tego, że wyszło z niego wielu dzielnych i sławnych mężów. Zamek ten, gniazdo rodziny Tęczyńskich, zbudowany był około roku 1319 przez Nawoja, kasztelana krakowskiego, jednego z przodków tej rodziny. Starożytny zamek tęczyński przeznaczony przez założycieli, aby przetrwał długie wieki, stał na niewzruszonej, bo granitowej posadzie, z najtrwalszego zbudowany materyału. Nie równaj go z dzisiejszemi budowlami, choćby także zamków miano nosiły! Wyniosły to był w całem tego słowa znaczeniu olbrzym, dumny z siebie i swoich dziedziców potęgi, długo też nad całą przyległą panował okolicą, długo nawet cudzoziemców zadziwiał swoją wspaniałością i urągał zuchwale okolicznym pomniejszym zamkom, wzniecając zazdrość w sercach panów rycerskich, którzy w pobliżu Tęczyna swoje pozakładali siedziby. A jeźli dziwili się mu cudzoziemcy, to istotnie mieli się czemu dziwić. Sławny on wielkiej pamięci Jan z Tęczyna, kasztelan wojnicki, jeden z najbogatszych panów polskich, nie szczędząc kosztów i starań, przyczynił mu zewnątrz wielkie mnóstwo najcenniejszych ozdób, a wewnątrz nagromadził zbiory najpiękniejszych obrazów i kosztowności. Lśniły się bogate komnaty od złota i marmuru, w każdym kącie widać było dostatek i przepych pański z najlepszym smakiem w parze. Na całej też polskiej ziemi choćbyś ją przeszedł w szerz i wzdłuż, nadaremnobyś szukał pomiędzy tysiącami zamków i zameczków drugiego równie wspaniałego jak Tęczyn, i chyba tylko mieszkanie królewskie w Krakowie mogło z nim iść w porównanie. Piękne ogrody otaczały zamek do koła, na pochyłości góry ciągnęły się dobrze urządzone

winnice, a pomiędzy niemi wiła się droga prowadząca do bramy zamkowej, umocnionej potężną wieżą.

Przez długie wieki Tęczyńscy przemieszkiwali w tym zamku, aż gdy nie stało potomków męzkich, przeszedł z córką ostatniego dziedzica w inne ręce. W r. 1655 Szwedzi zdobyli go przemocą i wyrznąwszy w pień załogę, zrabowali wszystkie kosztowności, które wieki nagromadziły w tym skarbcu rodzinnym. Dzielny Jerzy Lubomirski odebrał Tęczyn Szwedom, lecz wówczas był on już prawie zamieniony w gruzy, Szwedzi bowiem ustępując z zamku, spalili go. Chociaż odnowiony później przez możnych dziedziców, nie powrócił już do dawnej świetności, niedługo też potem był zamieszkały. Opuścili go właściciele, którym się uprzykrzył i odtąd wspaniała budowa zaczęła chylić się do upadku. Nareszcie zarysowały się mury, runęły sklepienia, i... skończyło się wszystko. Gdzie niegdyś wspaniałe stały baszty, dziś piętrzą się stosy gruzów, a po nich wije się powój i bluszcz, na wyłomach murów dzikie porasta ziele, a z komnat co niegdyś królewskim lśniły przepychem, nie zostało ani śladu.

Cała ta okolica jest także niezmiernie bogata w rozliczne płody przyrodzenia i tak w pobliskim Tęczynku są obfite kopalnie węgla opałowego, dalej w Dąbniku kopalnie marmuru, znajdują się tutaj nawet kamienie drogie, jako to: ametysty i chalcedony.

Także niedaleko, bo tylko dwie mile za Krakowem leżą przecudne okolice Ojcowa, Grodziska i Pieskowej Skały.

Ojców leży w roskosznej dolinie, którą rzeczka Prądnik przerzyna Dolina ta jest najeżona skałami najrozmaitszych kształtów, które zdają się być jakoby zwaliskami jakiegoś miasta. Wszyscy co znają kraj polski, zgadzają się w tem, że nigdzie nie ma piękniejszego jak Ojców miejsca. Godne też są zwiedzenia pieczary w tutejszych skałach, o których utrzymują że podczas napadów tatarskich służyły za schronienie okolicznym mieszkańcom. W jednej z nich obiadował ostatni król polski Stanisław August Poniatowski, zwiedzając Ojców w r. 1787. Przez niski otwór wchodzi się tu

do przestronnej sali, wyżłobionej w skale jakby ręką ludzką. Ściany wyłożone są niby mchem skamieniałym, który nawet młotkiem trudno oderwać. Sklepienie zaś tak jest wysokie, że go nie widać nawet przy blasku pochodni. Z tej głównej i największej sali ciągną się na prawo i na lewo obszerne krużganki, w jednem miejscu wązkie i niskie, w innem znowu szerokie i wspaniałe, nakształt pierwszej sali. Podłoga w tych pieczarach jest także dosyć równa — tu i ówdzie sterczą odłamy skał.

Opodal w pośrodku pięknej doliny sterczy skała olbrzymia, zwana Grodzisko, na której wznosi się niewielki kościółek. Tutaj stał niegdyś silny zamek, który później przerobiono na klasztor i w tym to klasztorze spędziła resztki bogobojnego żywota Święta Salomea, siostra króla polskiego Bolesława Wstydliwego, a żona króla węgierskiego, która owdowiawszy, wróciła do Polski, i przenosząc koronę niebieską nad wszystkie blaski tego świata, poświęciła się służbie bożej.

Równie pięknem miejscem jest Piaskowa Skała, z starożytnym zamkiem na wierzchołku, dobrze jeszcze utrzymanym. Nad brzegiem Prądnika tuż pod zamkiem sterczy wyniosła skała u dołu wązka u góry znacznie rozszerzona w kształcie olbrzymiej pałki i dla tego zwana maczugą.

Okolice Krakowa z tej strony Wisły są także bardzo piękne i bogate zarówno w rozliczne płody ziemi, jak i w pamiątki święte dla każdego Polaka. I tak Wieliczka tylko milę od Krakowa oddalona, sławna jest z największych w całym świecie kopalni soli, o których jednak wspominam tylko, nie opisując ich bliżej, ponieważ były już dawniej w Dzwonku dokładnie opisane. Dalej tuż nad samą Wisłą w Tyńcu wznosi się na skale klasztor niegdyś OO Benedyktynów, dziś opustoszały, jeden z najstarożytniejszych w Polsce, bo fundowany jeszcze przez Bolesława Chrobrego — a więc prawie przed 900 laty. Jeszcze dalej leży Lanckorona z starożytnym zamkiem na wyniosłej górze, wielokrotnie przez nieprzyjaciół oblęganym i nakoniec naprzeciwko Lanckorony,

w pośrodku lasu, Kalwarya sławna z odpustów i pobożnych wędrówek. Jest tutaj kościół pod wezwaniem Panny Maryi Anielskiej z klasztorem OO Bernardynów, a na wzgórzach oznaczone są drogi i stacye na wzór tych, któremi stąpał Zbawiciel, gdy szedł na mękę. Kościół ten wraz z klasztorem fundował pan polski Mikołaj Zebrzydowski i od jego to nazwiska nazywa się to miejsce Kalwaryą Zebrzydowską.

O targach i jarmarkach.

Od najdawniejszych czasów kupujący szukają sposobności zbliżenia się ze sprzedającymi i to dało początek targom i jarmarkom, to jest zgromadzaniu się kupujących i sprzedających w pewnem stale oznaczonem miejscu i zawsze w tym samym czasie, dla zamiany, kupna i sprzedaży — wraz z rozlicznemi płodami, jakoto: z bydłem, zbożem, drzewem, tudzież wyrobami rąk ludzkich jakiemi są rozmaite narzędzia i sprzęty, płótno, sukno i mnóstwo innych rzeczy potrzebnych człowiekowi.

Targi są dwojakie: albo zwyczajne, odbywające się po miasteczkach co tydzień lub częściej, i targi prowincyonalne, czyli jarmarki, odbywające się raz, dwa lub najwięcej trzy razy w roku.

Targi zwyczajne są dogodne dla tego, ponieważ każdy co ma jaki przedmiot do sprzedania lub kupienia, wie gdzie się ma z nim udać, lub gdzie go szukać, i czeka tylko dnia wyznaczonego w tygodniu. Na targach zwyczajnych sprzedają się głównie rozmaite rodzaje żywności, jakoto zboża, jarzyny, nabiał, mięso i inne rzeczy służące do codziennego użytku. W wielkich miastach odbywają się one codziennie lub co drugi dzień, przyczem dla porządku jakoteż dla wygody kupujących i sprzedających wyznaczane są osobne miejsca na każdy rodzaj towarów.

Jarmarki prowincyonalne służą do tego, aby zbliżyć do siebie ludzi nawet z dalszych stron kraju. Nie wszystkie okolice są równo bogate; ziemia nie wszędzie tego samego

dostarcza i ludzie nie wszędzie to samo wyrabiają; prócz tego okolice oddalone od większych miast nie mają sposobności nabycia wielu towarów, któremi kramarze miejscowi, nie mając pewności odbytu, handlować nie mogą. Jest także wiele towarów, o których w odległych wioskach i miasteczkach stale mieszkający nie wiedzą wcale, i dopiero na jarmarku dowiadują się o ich istnieniu. Z tego powodu jarmarki koniecznie są potrzebne, nietylko ażeby mieszkańców tych okolic zaopatrzyć w rzeczy potrzebne do życia i gospodarstwa, lecz oraz aby ich obznajomić z dobremi towarami i zaszczepić w nich upodobanie i chęć posiadania takowych. Tym sposobem jarmarki przyczyniają się do rozszerzenia zakresu wiedzy ludzkiej, wzbudzają w ludziach większą ochotę do pracy, dla zarobienia pieniędzy potrzebnych na zakupno rozmaitych towarów, zachęcają do oszczędności, która zapobiega wszystkim złym skutkom próżniactwa i rozwiązłości.

Prócz tego po miasteczkach wzwyczajnym czasie kramarze dopuszczają się częstokroć zdzierstwa i oszukaństwa. Jarmark zaś temu zapobiega, bo gdy się zjedzie wielu kupców obcych, natenczas miejscowi aby całkiem nie stracić odbytu, muszą sprzedawać swoje towary po takich cenach jak tamci, i ceny te utrzymują się zwykle i po jarmarku, bo kupujący wywiedziawszy się na jarmarku ile jaki towar kosztuje, nie tak łatwo oszukać się dają.

RÓŻNOŚCI.

Sposób pieczenia słodkiego chleba bez drożdży. W naczyniu już zakwaszonem, np. w garnku od żuru, zarabia się kwartę zimną wodą latem, a wodą letnią w zimie na noc, dobrze ubijając kopystką, jak na kładzione kluski. Naczynie się przykrywa i stawia w ciepłem miejscu. Na drugi dzień wlewa się w to dwie kwarty słodkiego mleka i dobrze się rozrabia. Tem się zarabia ciasto i zaraz się robią bochenki, i te niezwłocznie po wyruszeniu, nie jak przy innem pieczywie w dzieży, wsadzają się zaraz w piec, z którym tak utrafić trzeba, aby ciasto po wyruszeniu na pieczenie czekać nie potrzebowało. W ten sposób upieczony chleb będzie słodki i w smaku niczem nie różniący się od chleba upieczonego na drożdżach.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.